

1.

Las opustoszał. Ledwo kogoś spotkasz, nie licząc robali. Ich nic się nie ima, wciąż bzyczą i buczą, jak dawniej, tak i teraz. Lecą wyssać ci krew lub cię użądlić, bezmyślnie wspinają ci się po nodze, gdy wejdiesz im w drogę, albo pełzną gdzieś, aż ich nie zetrzesz lub nie rozdepczesz. Ich świat się nie zmienił – ale i to się kiedyś skończy. Nadejdzie czas! Ja już tego nie ujrzę, nikt tego nie zobaczy. Ale któregoś dnia ta godzina wybije, to pewne.

Coraz rzadziej wychodzę. Raz na parę dni wydostaję się na zewnątrz, przynoszę wodę ze źródła. Myję siebie i mojego towarzysza, szoruję jego gorące cielsko. Wody trzeba dużo i wiele razy muszę iść do źródła, ale raczej się nie zdarza, bym zamienił z kimś słowo po drodze. Ani żywej duszy, czasem tylko natknę się na sarnę lub dzika. Zrobiły się strachliwe, boją się już samego zapachu. Gdy na nie syczę, stają dęba i gapią się na mnie tępo, ale się nie zbliżają. Wpatrują się we mnie jak w wybryk przyrody – człowiek, który zna mowę węży! Sierść jeży się na ich grzbietach, najchętniej skoczyłyby w krzaki i popędziły z kopyta, by uciec od tego odmieńca jak najdalej – ale nie mogą. Słowa zabraniają. Syczę znów, tym razem głośniej, stanowczo nakazuję im podejść. Prychają zrozpaczone i wbrew woli podchodzą. Mógłbym się nad nimi zlitować i puścić je wolno – ale po co? Mam w sobie jakąś dziwną złość na te naiwne bydłeta, które nie znają dawnych zwyczajów i biegają po lesie, jakby od zarania dziejów

stworzony był tylko na ich harce. Dlatego syczę po raz trzeci i tym razem moje słowa są ciężkie jak grzędawisko, z którego nie da się już wydostać. Otumanione zwierzę pędzi ku mnie niczym strzała wypuszczona z łuku. Z nieznośnego napięcia jego skóra pęka w szwach i wybucha mu brzuch. Wnętrznosci wylewają się na mech. To okropny widok i nie cieszę się z mojego postępku – lecz nie mogę nie wypróbować swojej władzy. Nie ja zawiniłem, że bestie zapomniały mowy, której niegdyś uczyli ich przodkowie.

Pewnego razu stało się inaczej. Wraciałem znad źródła z ciężką beczką wody na ramieniu, gdy na ścieżce ujrzałem olbrzymiego łosia. Wyszczałem najprostsze słowa, aby wczasy okazać mu pogardę. Lecz on, słysząc z ludzkich ust dawno zapomniane zaklęcia, nie przestraszył się. Opuścił łeb, pospieszył ku mnie truchtem, padł na kolana i z podaniem obnażył kark, jak wówczas, dawno temu, gdy tak właśnie dbaliśmy o nasze żołądki – przywołując łosie na zabicie. Jakże często jako chłopiec widziałem moją matkę, która w ten sposób zdobywała zapasy na zimę! Wybierała z dużego stada najodpowiedniejszą łoszę, wołała do siebie i z łatwością podcinała gardło zwierzęciu, bo poddawało się ono jej sykom. Mięsa dorosłej samicy starczało nam aż do wiosny. Jak bardzo śmiechu warte wydawały się nam polowania ludzi z wioski, gdy długimi godzinami pędzili jednego łosia, śląc na oslep strzały w krzaki, a często po wszystkim wracali zawiedzeni z pustymi rękami do domu. U nas było to takie proste. Potrzebowaliśmy tylko paru słów, by zwierzę przyszło z własnej woli! Jak teraz. Potężny łoś leżał przede mną i czekał na cios. Mógłbym pozbawić go życia jednym ruchem ręki. Ale tego nie zrobiłem.

Zdjąłem za to z ramienia beczkę i dałem mu wody. Chłęptał potulnie. To był stary byk, naprawdę stary – musiał być, skąd inaczej by wiedział, jak ma się zachować, gdy woła go człowiek. Mógłby stawiać się i wierzgać lub choćby chwy-

tać zębami gałęzie, gdy pradawna siła ciągnęłaby go w moją stronę. Mógłby przyjść do mnie jak błazen, a przyszedł jak król. Cóż z tego, że na zabicie. I to trzeba umieć. Czy w podaniu się takiej mocy jest coś poniżającego? Według mnie nie. Nigdy nie zabiliśmy łosia dla przyjemności – jaka w tym w ogóle przyjemność? Musieliśmy jeść. Na zdobycie jedzenia było słowo, a słowo znały łosie i go słuchały. Poniżające jest je zapomnieć, jak zapomniały młode dziki i jelenie, którym na dźwięk mowy węży pękają brzuchy. Lub ludzie z wioski, którzy w dziesięciu idą na jedno zwierzę. Głupota jest poniżająca, nie mądrość. Napoiłem tego łosia, pogłaskałem go po łbie, a on potarł chrapami o moje okrycie. Dawny świat nie przepadł bez reszty. Póki żyję ja, póki żyje ten stary łos, nie zapomniało się jeszcze w puszczy mowy węży.

Pozwoliłem mu odejść. Niech jeszcze długo pożyje. Niech pamięta.



Tak naprawdę moją opowieść chciałem rozpocząć od pogrzebu Manivalda. Miałem sześć lat. Nie widziałem nigdy Manivalda na własne oczy, nie mieszkał jak my, w lesie, lecz nad brzegiem morza. Właściwie do dziś nie wiem, dlaczego wuj Vootele zabrał mnie wtedy ze sobą. Innych dzieci tam nie przyprowadzono. Ani mojego przyjaciela Pärta, ani Hiie. Ona musiała już być wtedy na świecie, urodziła się zaledwie rok po mnie. Dlaczego Tambet i Mall nie wzięli jej ze sobą? Uroczystość była im przecież po myśli – choć nie z tej przyczyny, by mieli coś przeciwko Manivaldowi i cieszyli się z jego śmierci. Tambet bardzo szanował zmarłego. Pamiętam wyraźnie, jak stał przy stosie i mówił: tacy już się nie rodzą. Miał rację, już się nie rodzili. Właściwie w naszych okolicach w ogóle mężczyźni nie przychodzili już na świat. Ja byłem ostatni, parę miesięcy przede mną pojawił się Pärt, a po roku

– Hiie. Nie chłopak, a dziewczyna. Potem w naszym lesie przybywało jedynie łasic i zajęców.

Wówczas jednak Tabet tego nie wiedział. Nie chciał wiedzieć. Nie przestawał wierzyć, że kiedyś znów nadejdzie godzina i tak dalej. Musiał, był człowiekiem, który usilnie starał się zachowywać wszelkie dawne obrzędy. Co tydzień chodził do świętego gaju i z powagą na twarzy zawiązywał na gałęziach lipy kolorowe wstążki, wierząc, że składa ofiary duchom lasu. Szaman Ülgaś był jego najlepszym przyjacielem. Choć nie, słowo przyjaciel tu nie pasuje, Tabet za nic w świecie nie nazwałby szamana swoim przyjacielem. Szaman był kimś wielkim i świętym, kimś, kogo się szanuje, a nie z kim się spoufala.

Oczywiście Ülgaś też był na pogrzebie Manivalda. Jakżeby inaczej! To on miał rozpalić stos i odprowadzić duszę zmarłego w zaświaty. Robił to długo, aż do znudzenia: śpiewał, bił w bęben, spalał grzyby i łodygi traw. Tak się od wieków paliło zmarłych i tak należało uczynić. To dlatego mówiłem, że pogrzeb był Tabetowi po myśli. Podobały mu się rytuały. Najważniejsze, by robić jak praojcowie, a Tabet był zadowolony.

Ja za to śmiertelnie się nudziłem, pamiętam to bardzo dobrze. Nie znałem Manivalda i nie mogłem go nijak opłakiwać, pałętałem się tylko między nogami. Na początku ciekawił mnie widok porytej zmarszczkami twarzy nieboszczyka z długą brodą – i przerażał, bo nie widziałem nigdy trupa. Ale szaman odprawiał swoje czary i gusła tak długo, że w końcu nie było to ani ciekawe, ani straszne. Najchętniej pobiegłbym sobie gdzieś dalej, nad morze. Nigdy wcześniej nie widziałem morza. Byłem przecież dzieckiem lasu. Lecz wuj Vootele trzymał mnie mocno, szepcząc do ucha, że zaraz zapali się stos. Najpierw mnie to przekonało, chciałem zobaczyć ogień, a szczególnie to, jak pali się człowiek. Co z niego wyjdzie, jakie będzie miał kości? Siedziałem dalej, ale Ülgaś

wciąż zawodził, a ja byłem na wpół umarły z nudów. Mojej ciekawości nie wzbudziłoby już nawet to, gdyby wuj obiecał, że przed spaleniem nieboszczyk zostanie obdarty ze skóry. Ziewałem głośno, aż Tambet wlepił we mnie swoje wylupia-
ste oczy i warknął:

– Bądź cicho, chłopcze, jesteś na pogrzebie! Słuchaj szama-
mana!

– Leć, pobiegaj sobie – szepnął mi na to wuj Vootele. Po-
biegłem więc do morza i bez rozbierania się skoczyłem w fale,
a potem bawiłem się na plaży, aż cały byłem w piasku. Gdy
ujrzałem, że stos płonie, popędziłem ile sił z powrotem, ale
Manivalda nie było już widać, płomienie wznosiły się wysoko,
aż do gwiazd.

– Ależ jesteś brudny – rzekł wuj Vootele, starając się otrze-
pać ze mnie piasek, a ja znów natknąłem się na wściekle spoj-
rzenie Tambeta, bo na pogrzebie nie przystoi się tak zach-
owywać, a Tambet zawsze trzymał się zasad.

Nie przejmowałem się nim. Nie był moim ojcem ani wu-
jem, lecz złośliwym sąsiadem, którego nigdy nie lubiłem. Po-
ciągnąłem wuja za brodę i spytałem:

– Kim był ten Manivald? Dlaczego nie mieszkał w lesie?

– Od zawsze żył nad morzem – odparł Vootele. – Mani-
vald był starym i mądrym człowiekiem. Najstarszym z nas.
Mówią, że kiedyś widział Północnego Gada.

– Co to jest Północny Gad?

– To ogromny wąż – rzekł wuj. – Największy. Nie równa
się z nim nawet król węży. Jest wielki jak las i potrafi latać.
Ma olbrzymie skrzydła i gdy wzniesie się do nieba, zasła-
nia sobą słońce i księżyc. Dawniej często wzbijał się do lotu
i pożerał naszych wrogów, którzy przybijali tu na swoich ło-
dziach. A gdy ich pożarł, nam zostawał ich dobytek. Byliśmy
potężni i bogaci. Strach sięgał daleko, bo mało komu udawa-
ło się ująć z życiem. Wiedziano jednak o naszym bogactwie,
a chciwość przewyższała strach. I kolejne łodzie kierowały

się ku naszym brzegom, by nas ograbić, ale Północny Gad niszczył je wszystkie.

– Ja też chcę go zobaczyć – powiedziałem.

– To niemożliwe – westchnął wuj. – Północny Gad śpi, a my nie mamy rady go przebudzić. Jest nas za mało.

– Kiedyś znowu się nam powiedzie! – wtrącił Tambet. – Porzuć tę gadkę, Vootele! Co to za haniebne brednie? Zapamiętaj – jeszcze obaj ujrzemy dzień, w którym Gad znów wzleci w niebo i pożre parszywych rycerzy i te wiejskie szcury!

– To ty bredzisz – odparł wuj Vootele. – Jak by się to mogło stać? Dobrze wiesz, że do zbudzenia Gada potrzeba przynajmniej dziesięciu tysięcy mężczyzn! Tylko wówczas, gdy staną ramię w ramię, sycząc wężowe słowa, Północny Gad wyłoni się z gniazda i wzniesie do nieba. Gdzie masz tych dziesięć tysięcy? Dziesięciu się nas nie zbierze!

– Nie można się poddawać – rzucił Tambet. – Spójrz na Manivalda – on cały czas miał nadzieję i dzień w dzień robił swoje! Jak tylko na widnokręgu ukazał się statek, rozpałał ogień w wysuszonych konarach, by ogłosić wszem i wobec: czas zbudzić Północnego Gada! Rok w rok robił to samo, choć dawno nikt nie odpowiadał na jego znaki, a obce łodzie wciąż nadpływały i rycerze bezkarnie zalewali nasze ziemie. Ale on się nie poddawał, zwał i suszył nowe pnie, by wzniecić w nich ogień, i czekał, cały czas czekał! Może potężny Północny Gad wzleci ponad lasem jak za dawnych dobrych lat!

– Już nie wzleci – rzekł wuj ponuro.

– Chcę go zobaczyć! – zażądałem. – Chcę zobaczyć Północnego Gada!

– Nie zobaczysz – odparł wuj.

– Zdechł? – zapytałem.

– Nie, on nigdy nie umrze – zaprzeczył. – Śpi. Tylko nie wiem gdzie. Nikt nie wie.

Umilkłem rozczarowany. Opowieść o Północnym Gadzie zapowiadała się ciekawie, a miała tak marny koniec. Co za pożytek z cudu, którego nie można zobaczyć? Tambet i wuj spierali się dalej, a ja znów pobiegłem powłóczyć się nad brzegiem morza. Szedłem plażą. Była piękna, piaszczysta, gdzieś tam leżały na niej ogromne, wydrążone pnie drzew. Widocznie to te, które zostawiał na osuszenie zmarły i dopiero co spalony Manivald, by słać nikomu już niepotrzebne, ogniste znaki. Przy jednym z pni dostrzegłem człowieka. To był Meeme. Nie widziałem go nigdy w ruchu, leżał zawsze rozciągnięty pod jakimś krzakiem, jakby był liściem, który wiatr zwiewa z jednego miejsca w drugie. Przeżuwał muchomory i zazwyczaj proponował mi kawałek, ale ja się nie zgadzałem, bo matka zabraniała.

I tym razem Meeme leżał, a ja znowu nie widziałem, kiedy i jak się tu znalazł. Obiecałem sobie, że kiedyś się przekonam, jak wygląda, gdy stoi na dwóch nogach i jakim sposobem w ogóle się porusza: jak człowiek czy jak zwierzę, na czterech łapach, a może pełznąc jak wąż? Podszedłem bliżej i ku swemu zaskoczeniu ujrzałem, że Meeme nie skubie grzybów, lecz popija coś ze skórzanego bukłaka.

– Ach! – otarł sobie usta, gdy kucnąłem obok i zaciekawiony powąchałem obco pachnącą zawartość. – To wino. O wiele lepsze od muchomorów. Niech będą pochwaleni cudzoziemcy i ich wynalazki. Po grzybach strasznie chciało się pić, a to tu za jednym zamachem gasi pragnienie i miesza w głowie. Wspaniale. Już na nic tego nie zamienię. Chcesz?

– Nie – powiedziałem. Matka co prawda wina mi nie zabroniła, ale gdy Meeme coś daje, nie może to być lepsze od muchomorów. – Skąd to masz? – zapytałem, wskazując na bukłak. W lesie niczego podobnego nie widziałem.

– Od mnichów i innych takich – rzekł Meeme. – Trzeba im tylko najpierw rozwalić łeb. – Znów pociągnął łyk. – Nie ma co, smaczny truneczek – pochwalił jeszcze raz. – Ten

głupiec Tambet może sobie gadać i jęczeć, ile chce, ale ich napitek jest lepszy od naszego.

– A co ci Tambet gadał i jęczał? – zapytałem.

– Nie znosi, gdy ktoś ma do czynienia z obcymi lub choćby dotknie ich rzeczy. – Meeme rozłożył ręce. – Mówiłem mu, że ja się tego mnicha nie tykałem, tylko mój topór, ale on męczył mnie dalej. A co, jeśli ja nie chcę wciąż żuć grzybów? Gdy to tutaj jest mocniejsze i szybciej uderza pod czaszkę? Człowiek musi się całe życie uczyć, a nie być głuchy na nowe jak ten pień. Ale tacy my właśnie jesteśmy. I co ta głuchota nam dobrego przyniosła? Łazimy leniwie po lesie jak ostatnie muchy przed zimą, aż padniemy na mech i zdechniemy.

Tych słów już nie rozumiałem. Wstałem z kucek, by wrócić do wuja.

– Zaczekaj, chłopcze – zatrzymał mnie Meeme. – Chcę ci coś dać.

Pokręciłem zaraz głową, bo wiedziałem – da mi mucho-mora albo wino, albo jeszcze inne ohydztwo.

– Zaczekaj, powiedziałem!

– Matka nie pozwala – odrzekłem.

– Nie miałem zozorem. Matka nie wie, co ci chcę dać. Masz, weź sobie. Mnie to na nic. Zawieś na szyi!

I wcisnął mi w dłoń małą skórzaną sakiewkę, w której krył się drobny i ciężki przedmiot.

– Co jest w środku? – zapytałem.

– No, tam jest pierścień.

Rozwiązałem sakiewkę. Rzeczywiście leżał w niej pierścień. Srebrny, z wielkim czerwonym kamieniem. Spróbowałem go założyć, ale na moje drobne palce był za duży.

– Noś go w sakiewce – pouczył mnie Meeme. – A sakiewkę zawieś na szyi. Słuchaj, co ci mówię.

Schowałem pierścień do sakiewki. Z jak delikatnej skóry była zrobiona! Cieniutka jak liść; gdyby puścić ją z dłoni,

uleciałaby na wietrze. Tak cenny przedmiot musiał mieć wytworne gniazdko.

– Dziękuję – powiedziałem uradowany. – To okropnie piękny pierścień!

Meeme się roześmiał.

– Nie ma za co, chłopcze – odrzekł. – Nie wiem, czy jest piękny, czy szkaradny, ale przyda ci się na pewno. Trzymaj go zawsze w sakiewce.

Pobiegłem z powrotem do ognia. Manivald się spalił, tylko popiół się po nim żarzył. Pokazałem pierścień wujowi, a ten długo i badawczo go oglądał.

– To cenna rzecz – odezwał się w końcu. – Zrobiono go na cudzej ziemi i pewnie dostał się swego czasu na nasz brzeg wraz z rycerzami na łodziach. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby jego pierwszy właściciel dostał się w szpony Północnego Gada. Nie rozumiem, dlaczego Meeme dał go akurat tobie. Mógł go podarować twojej siostrze, Salme. Co ty, chłopak, poczniesz w lesie z czymś tak drogocennym?

– Na pewno nie oddam go Salme! – zawołałem obruszony.

– To nie oddawaj – odrzekł wuj Vootele. – Meeme nie robi nic nigdy bez powodu. Jeśli dał ci ten pierścień, to tak było trzeba. Nie wiem, jakie miał zamiary, ale nie szkodzi. Kiedyś się okaże. A teraz wracajmy do domu.

– Wracajmy – zgodziłem się i poczułem, jaki jestem śpiący. Wuj posadził mnie na grzbiet wilka i powędrowaliśmy przez nocny las. Za naszymi plecami pozostał wygasły stos i morze, którego nikt już nie strzegł.